

Wobec dwóch „Solidarności”. Rozmowa ze Zbigniewem Stawrowskim

Można powiedzieć, że solidarność jest z kimś, nie dla kogoś. Miłość i miłosierdzie to działanie dla dobra osoby znajdującej się w potrzebie, ale solidarność, solidarne działanie podejmujemy i przeżywamy z kimś. Z kim? Z kimś, kto podobnie jak ja, chce być i jest dla kogoś – mówił prof. Zbigniew Stawrowski w rozmowie z Karolem Grabiasem.

Karol Grabias (Teologia Polityczna): Minęło ponad czterdzieści lat od wydarzeń, które ukształtowały Pana pokolenie: pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, wydania „Etyki Solidarności” Tischnera i etycznego cudu pierwszej „Solidarności”. Czytając Pana książkę „Solidarność znaczy więź AD 2020” zadawałem sobie pytanie: ile z tego duchowego dziedzictwa, którego pamięć powoli zaciera się w czasie, przetrwało i gdzie go szukać? Trudno o bardziej podeptany współcześnie mit niż ten „Solidarności”.

Prof. Zbigniew Stawrowski: Zaczniemy od tego, że „Solidarność znaczy więź AD 2020” to książka, która powstawała przez lata, a związane z nią pojęcia i moje motywy do jej napisania klarowały się i dojrzewały wraz z nią. Z całą pewnością pierwszym impulsem była potrzeba zapisania źródłowego doświadczenia – czegoś zupełnie niezwykłego, co miało z jednej strony wymiar bardzo osobisty, a z drugiej jednocześnie było wydarzeniem na wielką skalę społeczną. W trakcie pisania książki pojawiała się w mojej głowie wspomniana przez Pana kategoria cudu –

na tle innych wydarzeń społecznych czy politycznych tego typu fenomeny pojawiają się niezwykle rzadko. Perspektywa uczestnika, a nie jedynie obserwatora tamtych dni wiąże się z pewnego rodzaju imperatywem. Otóż im więcej mijało czasu i im większemu zniekształceniu ulegał obraz pierwszej „Solidarności”, tym silniejsze było we mnie poczucie obowiązku, by opowiedzieć o tym, co wówczas się stało. Mówi Pan, że trudno o bardziej zszargany dziś mit. Wydaje mi się, że żyjemy w czasach mitobójczych, w których deklaracje poszukiwania prawdy o tym, co dla wielu osób jest lub było kiedyś oczywistością czy świętością, zbyt często splatają się z nieszczerymi intencjami i brakiem badawczej rzetelności. Tak powstają opowieści a raczej konfabulacje bazujące na relacjach z drugiej, trzeciej, czwartej ręki, które coraz mniej mają wspólnego z tym, co widzieliśmy i czego doświadczyliśmy my: ludzie budujący pierwszą „Solidarność”.

Pana książka to zatem próba przywrócenia mitu?

Nie nazwałbym tego w taki sposób. To raczej odpowiedź na moralny imperatyw wzywający do pozostawienia rzetelnego opisu – opisu z pierwszej ręki, jednego z najważniejszych doświadczeń w nowoczesnej historii Polski, wbrew tym, którzy chcą je zafałszować, by jak najszybciej o nim zapomnieć. Aby taki rzetelny opis przedstawić, trzeba dysponować odpowiednimi intelektualnymi narzędziami i punktami odniesienia. Pomogło mi w tym całe moje późniejsze życie, a szczególnie filozoficzne szlaki, którymi wędrowałem: tamte wydarzenia opowiadam przez pryzmat postaci, które odegrały fundamentalną rolę w historii „Solidarności”: Jana Pawła II i Józefa Tischnera. Daleki zatem jestem od chęci budowania, czy przywracania mitu. Moim punktem wyjścia jest chęć zaświadczenia temu, w czym uczestniczyłem i co ufundowało moje dorosłe życie. A metoda, która

stanowi rdzeń mojej narracji, jest filozoficzny dialog z myślą Tischnera i Jana Pawła II, bez których nie da się opowiedzieć tamtych czasów, jeśli chcemy mówić o sprawach najbardziej istotnych.

Doświadczenie fundujące, doświadczenie, od którego zaczęło się Pana dorosłe życie. Czy postrzega Pan dziś te wydarzenia podobnie jak w tamtych czasach?

Nasze doświadczenia są zanurzone w czasie. Pamięć o nich – tak w wymiarze społecznym, jak i indywidualnym – zmienia się niczym materiał wystawiony na warunki atmosferyczne. Wraz z nawarstwieniem się nowych doświadczeń ulega przekształceniom, jedne z nich spontanicznie blakną, inne, te najważniejsze, są utrwalane przez nasz świadomy ogląd świata, wyznawane wartości i dokonywane wybory. To oczywiste, że moje wspomnienia, obrazy z tamtych czasów są już mniej ostre, mniej nasycone kolorami, przetworzone przez późniejszą refleksję. Jednak ich istota – fenomenologiczny *eidos* – zachowała swoją tożsamość. Pierwsza „Solidarność”, a wcześniej pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski – bo te dwa wydarzenia tworzą w mojej pamięci nierozzerwalną całość – są dla mnie momentem *metanoi*, pierwszym aktem nadziei i nowego życia, które dla wielu Polaków wówczas się rozpoczęło.

Rozmawiam dziś z profesorem filozofii, dawnym uczniem Józefa Tischnera. Ale kim był człowiek, którego te wydarzenia wówczas zastały?

Miałem wtedy 21 lat, byłem poszukującym młodym człowiekiem, który chciał coś rozumieć z otaczającego go świata. Świata, który bardzo mu się nie podobał: mówimy wszak o czasach chylącego się ku upadkowi komunizmu, wszechobecnego marazmu, poczucia beznadziei i kłamstw, w które nikt już nie wierzył, łącznie nawet z samą władzą. I nagle w sam środek tego ponurego krajobrazu wtargnęło coś niezwykłego. Na początku był to człowiek z prostym słowem, które trafiało w samo serce, a rok później fala strajków. To był przebłysk jakby innego świata, zerwana została zasłona i otworzyła się przestrzeń – najpierw dla pracy ducha i umysłu, potem dla praktycznego działania – która wzywała Polaków, by wzięli życie we własne ręce i nadali mu inny, bardziej sensowny kształt. Tak to wówczas odczuwałem i przeżywałem, i dlatego nie mogłem później o tym milczeć. Osobną sprawą jest jednak to, jak o takim cudownym wydarzeniu opowiedzieć następnym pokoleniom. Tego właśnie dotyczyły uwagi Jana Maciejewskiego, który na łamach „Nowego Napisu” odniósł się do mojej książki w charakterystyczny dla siebie sposób: jego publikacje zawsze mają silny egzystencjalny, metafizyczny rdzeń. W swojej recenzji zatytułowanej „Epifania czy nawrócenie wspólnoty?” napisał on rzecz pozornie oczywistą, lecz dla mnie bardzo przejmującą, a mianowicie, że wypowiadam się z bardzo specyficznej perspektywy: świadka-filozofa, kogoś, kto był uczestnikiem tamtych zdarzeń, ale jednocześnie wchodzi w uczciwy i krytyczny dialog z własnymi autorytetami. W tekście Janka pojawia się fundamentalne pytanie: jak rozmawiać z tymi, dla których „Solidarność” i cały z nią związany etyczny ferment jest jedynie opowieścią z drugiej ręki, a nie osobistym doświadczeniem?

To pytanie wydaje się niezwykle aktualne.

Myślę, że perspektywa świadka, doświadczenie osobistej i zbiorowej odpowiedzialności za losy wspólnoty, które wówczas przeżyliśmy, jest czymś, co nie daje się w łatwo przetłumaczyć na język ludzi, dla których podobny fenomen z taką intensywnością nigdy nie zaistniał. Ale ostatnio coś się wydarzyło i zmieniło. Wygląda na to, że znów żyjemy w czasach, które stawiają przed nami pytanie o obecność i znaczenie najgłębszych więzi między ludźmi. Na naszych oczach dokonał się niejako drugi cud solidarności, który stał się zbiorowym doświadczeniem także waszego pokolenia – obecnych dwudziesto-trzydziestolatków. Atak Rosji na Ukrainę, tragedia ofiar i fala uciekinierów poruszyły tysiące sumień, wzbudziły powszechne pragnienie udzielania pomocy, czynienia dobra nie pod przymusem, ale z odruchu serca. I oto znów pojawiła się wśród nas „spontanicznie powstała wspólnota ludzi dobrej woli”. Obserwowałem to wszystko z niemałym wzruszeniem, bo zobaczyłem w tym działanie tego samego ducha, który połączył Polaków przed 40 laty. A skoro już czegoś podobnego doświadczyliście, to teraz przed Panem i Pana pokoleniem stoi zadanie znalezienia właściwego języka dla opisanie nowego cudu solidarności.

Wróćmy jeszcze do Pańskiej opowieści. W swojej książce pisze Pan o dwóch postaciach, które odgrywają kluczową rolę w Pana narracji: Janie Pawle II, mistrzu wiary i Józefie Tischnerze, mistrzu myślenia. Czy oddziela Pan zasadniczo te inspiracje?

Zapomniał Pan o jednej ważnej dla mnie osobie. Wspominam też o swojej mamie jako mistrzyni mojego serca. To ona była dla mnie pierwszym wzorcem wrażliwości na ludzi, którzy znajdują się w potrzebie. W pewnym sensie to właśnie ona pierwsza ofiarowała mi dar

solidarności. Spójrzmy jednak na wspomniane postacie. Jan Paweł II wprowadził mnie, młodego, ale już dorosłego człowieka w świat rozumnej wiary. To od niego najpierw usłyszałem – bo takie było główne przesłanie jego pierwszej pielgrzymki – że to Bóg wierzy w każdego z nas, także we mnie, że nie zmarnujemy swojego życia, lecz przeżyjemy je mądrze i owocnie. Że jako przybrani synowie i córki Boga, świadomi swej godności, damy w życiu osobistym i publicznym wyraźne tego świadectwo. Natomiast Józef Tischner uczył mnie myślenia filozoficznego, które było religijne z ducha, a więc myślenia rozświetlanego przez wiarę, ale nie samej wiary. W planie osobistym to wszystko się splatało i wzajemnie wzmacniało. Nieco inaczej wygląda to w perspektywie społecznej. Jakie role odegrali oni dla wspólnoty „Solidarności”? Można powiedzieć, że przesłanie proroków, przywódców religijnych jest skierowane do całego ludu, do całej wspólnoty wiernych, zaś przesłanie filozoficzne trafia tylko do jego części, do dość wąskiej elity intelektualistów, tych, którzy są zdolni do pewnego intelektualnego wysiłku. Przesłanie Jana Pawła II w czasie pierwszej pielgrzymki mogło odcisnąć tak silne piętno na Polakach, właśnie dlatego, że przemawiało do wszystkich.

Jak wówczas ono brzmiało?

Było to zasadniczo przesłanie encykliki *Redemptor hominis* – człowiek jest dzieckiem Bożym i posiada swoją niezbywalną godność, która zasługuje na bezwzględny szacunek. Do tego obdarzony jest bytem społecznym, nie da się go pojąć bez zrozumienia wspólnoty, z której wyrasta, a która kształtowała się przez stulecia. A przede wszystkim, że tego wszystkiego – człowieka, Polski, Zachodu – nie da się pojąć bez Chrystusa. Wtedy, gdy tego słuchaliśmy, mieliśmy wrażenie, że ktoś przypomina nam o naszej stłamszonej istocie, o człowieczeństwie,

które nosiliśmy głęboko w sobie. W pewnym sensie poczuliśmy się – my, tworzący później „Solidarność” – że ktoś nas wybudził ze snu. Natomiast Józef Tischner odegrał inną rolę i przyszedł nieco później. Jeśli Jan Paweł II był zapalnikiem doświadczenia godności, które wówczas eksplodowało, to Tischner nadał ruchowi Solidarności ramy intelektualne – odsłaniał jego sens i wyznaczał właściwy kierunek. Przypominał Sokratesa, zadającego najprostsze pytania: czym w istocie jest solidarność? Czym jest ojczyzna, praca, władza, wychowanie, demokracja? Tischner umiał wpisać te pytania w kontekst kulturowy chrześcijaństwa – odnieść do nauczania św. Pawła czy przypowieści o miłosiernym Samarytaninie – a w ten sposób pozwalał nam inaczej spojrzeć na nasze sprawy. Tworząc „Solidarność” spontanicznie odczuwaliśmy pewien rodzaj etycznej podniosłości. Ale to dzięki pracom Tischnera te uczucia uzyskały uniwersalny plan: zarówno w wymiarze religijnym, jak i cywilizacyjno-kulturowym. Wiedzieliśmy wtedy, że to nie jakiś kolejny lokalny zryw robotniczo-studencki, tylko niezwykle wydarzenie etyczne w dziejach narodu, a nawet całej ludzkości.

Jednak w swojej książce wypowiada się Pan nie tylko jako świadek „Solidarności”, ale też jako filozof podejmujący refleksję nad solidarnością przez małe „s”. Wiele uwagi poświęca Pan samej etycznej kategorii solidarności, którą odróżnia Pan od miłosierdzia.

Ta część książki, o której Pan mówi, powstała stosunkowo niedawno. Faktycznie, w pewnym momencie pojawiła się we mnie taka refleksja: nawet jeśli udało mi się opisać istotny sens wydarzeń z przeszłości, to przecież niezależnie od dorobku „Solidarności”, która była jednorazowym historycznym wydarzeniem, istnieje zwykła solidarność,

która jest zjawiskiem powszechnym i wszechobecnym. Musiała istnieć jakaś zwyczajna, niedostrzegalna na co dzień solidarność, by ta, pisana wielką literą mogła się skondensować i z niej zrodzić. Solidarność to jedno z tych pojęć, które wydaje się nam dobrze znane, ale o które sami rzadko siebie pytamy. Bo czym jest solidarność? Stosując klasyczną metodę definiowania, poszukujemy dla danego zjawiska jego *genus proximum*. Co jest tym najbliższym rodzajem? Wydaje się, że solidarność najbliżej spokrewniona jest z miłością, katechizm wskazuje w końcu, że to forma miłości społecznej. Zacząłem więc bliżej przyglądać się solidarności, a inspiracje podsunął mi Tischner, który wskazywał na dwa obrazy z Nowego Testamentu, czyli przypowieść o miłosiernym Samarytaninie i słynny fragment *Listu do Galatów*: „jeden drugiego brzemiona noście”. Muszę przyznać, że czytając przypowieść o Samarytaninie, nie mogłem doszukać się tam opisu solidarności – a spostrzegłem miłosierdzie.

Gdzie zatem przebiega linia demarkacyjna między miłosierdziem a solidarnością?

W drugim rozdziale „Etyki Solidarności” Tischner napisał, „Solidarność stanowi szczególne więzi międzyludzkie. Człowiek wiąże się z drugim człowiekiem dla opieki nad tym, kto potrzebuje opieki. Ja jestem z tobą, ty jesteś ze mną, jesteśmy razem dla niego”. Można powiedzieć, że solidarność jest z kimś, nie dla kogoś. Miłość i miłosierdzie to działanie dla dobra osoby znajdującej się w potrzebie, ale solidarność, solidarne działanie podejmujemy i przeżywamy z kimś. Z kim? Z kimś, kto podobnie jak ja, chce być i jest dla kogoś. Na pierwszy rzut oka może brzmieć to niczym filozoficzne dzielenie włosa na czworo, jednak to rozróżnienie pozwala widzieć sprawę bardziej klarownie. Pragnienie pomocy drugiemu człowiekowi, którego dotknęła krzywda,

niesprawiedliwość, jakaś bieda – to doświadczenie pierwszego rzędu. Dopiero na nim nadbudowuje się solidarność, która łączy ludzi wzajemnie dostrzegających w sobie zdolność do miłości – ale nie miłości wzajemnej, tylko skierowanej do jakiegoś innego.

Solidarność to relacja zbudowana ponad inną miłością?

Tak. To szczególnego rodzaju więź, która sama nie musi być jeszcze miłością, ale której miłość jest koniecznym warunkiem. Więź ta rozwija się wraz ze wzrastaniem świadomości, że inni są również zdolni do kierowania się bezwarunkową miłością do bliźniego. A jednocześnie wcale nie musi się formalizować, przybierać trwałych postaci. To może być ulotne doświadczenie, czy wręcz przebłysk świadomości. Oto w moim pobliżu dzieje się komuś coś złego, rzucam się do pomocy, ktoś inny, przypadkowy przechodzień, także mu pomaga. Przez chwilę widzę w innym to samo, co odnalazłem w sobie i co pchnęło mnie do działania: zdolność do miłości i miłosierdzia. Rodzi się tu wiele dalszych pytań, które oczekują odpowiedzi: w jaki sposób solidarność się rozprzestrzenia? Jak to możliwe, że mój gest miłosierdzia może być dla kogoś bodźcem do własnego zaangażowania? Dlaczego to raczej indywidualne świadectwo czy przykład drugiego, a nie argumentacja, może wzmocnić w kimś zmysł miłosierdzia? Czy międzyludzkie doświadczenie solidarności, różniące się przecież od sprawiedliwości, da się przetłumaczyć na język polityki? Z tym ostatnim wciąż mam problem – państwo musi być sprawiedliwe, ale czy może być solidarne w takim sensie, w jakim solidarni mogą być ludzie – wolne podmioty tworzące wspólnotę polityczną? Czy też państwo może jedynie tworzyć ramy instytucjonalno-prawne, które postawy solidarności wspierają? To trudne pytania.

Rozmawiając o solidarności nie można nie zadać pytania o to, co wydarzyło się w Polsce po wybuchu wojny za naszą wschodnią granicą. Wspomniał Pan już, że byliśmy świadkami kolejnego cudu solidarności.

To, co się wydarzyło, zdaje się jeszcze bardziej skomplikowane, niż doświadczenie naszego pokolenia – splatają się tu wątki polityczne, historyczne – dotyczące wspólnej przeszłości, relacji między oddolną inicjatywą obywateli a państwem. Polska pomoc po lutym 2022 roku wciąż domaga się duchowego i intelektualnego przepracowania, do czego gorąco zachęcam młode pokolenie – uczestników owych zdarzeń. Jedną rzecz chciałbym podkreślić: doświadczenie solidarności i to w najbardziej fundamentalnym, egzystencjalnym sensie przeżywają teraz sami Ukraińcy – tam, na miejscu, w ich własnym kraju. Jest ono wielowymiarowe i zapewne niekiedy o wiele głębsze niż to, którego doświadczyliśmy zarówno w czasie pierwszej „Solidarności”, jak i po 2022 roku. To doświadczenie tych, którzy solidarnie ryzykują życie i giną. Ukraińcy już teraz budują swoją, niezwykle silną narrację o doświadczeniu solidarności, której doświadczają między sobą w obliczu krzywdy najwyższej, jaką można sobie wyobrazić, czyli zbrodniczej ludobójczej wojny. Tworzenie tej opowieści pozostawmy jednak samym Ukraińcom. Oczywiście, istnieje perspektywa polska na te wydarzenia, w której solidarności również nie zabrakło.

Gdy widział Pan to, co się działo w lutym minionego roku, dostrzegał Pan analogię z rokiem 1980 r.?

Zdecydowanie tak, przede wszystkim widziałem ją w postawie młodych ludzi, choć nie tylko. Nagle ktoś podpalił dom naszych sąsiadów, usłyszeliśmy głos ludzi w potrzebie i ruszyliśmy bez zastanowienia, by im pomóc. Dokładnie to samo wydarzyło się w czasie pierwszej „Solidarności”, z tą jedną różnicą, że wtedy troszczyliśmy się o sąsiadów z „naszego podwórka”, a teraz o ludzi, którzy mieszkali nieco dalej: sąsiadów z za granicy. Polacy znowu odkryli solidarność między sobą, bo zobaczyli, że ogromna część naszego społeczeństwa ma podobną postawę wobec ogromu krzywd, jakich doświadczają Ukraińcy. Wydaje mi się, że był to moment, w którym zobaczyliśmy siebie nawzajem w innym lepszym świetle. Gdy dotknęła nas ludzka niedola, okazało się, że niezależnie od politycznych poglądów byliśmy w stanie poświęcić swój czas, otworzyć nasze domy, przekazać pieniądze, lub cokolwiek innego, czego wymagała potrzeba chwili – by ratować skrzywdzonego bliźniego. W innym świetle ujrzyliśmy też naszych wschodnich sąsiadów: prawie każdy z nas spotkał się z Ukraińcami albo ich gościł, pomógł, porozmawiał czy wysłuchał ich opowieści. Często po raz pierwszy, choć przed lutym 2022 roku żyło ich w Polsce ponad milion.

Trudno znów nie posłużyć się Tischnerem: doszło między nami do *spotkania*.

Tak, to bardzo ważna kategoria myśli Tischnera, która nabiera znaczenia w tym kontekście. Bezpośrednie spotkanie twarzą w twarz, bez masek, oznaczało dla tysięcy ludzi uformowanie na nowo obrazu Ukraińców oraz losu, jaki ich dotknął. Spotkaliśmy naszych sąsiadów nie jako anonimowych pracowników, przechodniów, petentów w urzędzie, tylko jako konkretne osoby, które zostały porażone dramatem

zła i których istnienie w jakimś sensie zostało zakwestionowane. Uciekający przed wojną Ukraińcy wtargnęli w nasz etyczny świat, przynosząc ze sobą obrazy demonicznego zła – zła metafizycznego, które zdawało się w naszym świecie zapomniane – i jednocześnie wzbudzając w nas głęboko ukryte pokłady dobra. Dobra tak silnego w swym promieniowaniu, że nierzadko zaskakującego dla tych, którzy zostali nim porażeni. Wymiar teologiczny tych wydarzeń jest niebywale głęboki i trudno nie mieć wrażenia, że jesteśmy świadkami działania i zmagania potężnych sił duchowych obecnych w naszym świecie. Mam nadzieję, że to najnowsze doświadczenie solidarności wobec naszych ukraińskich sąsiadów pozostawi głęboki etyczny ślad w pamięci młodego pokolenia Polaków i Ukraińców, stając się punktem wyjścia dla nowego ułożenia naszych relacji i pojednania między naszymi narodami.

Wracając do Pańskiego pytania: to wszystko bardzo przypomina mi Sierpień 1980. Jest również jedna istotna różnica. Otóż tym razem, w radykalnym przeciwieństwie do lat 1980-81, spontaniczna wrażliwość i aktywność Polaków spotkała się w solidarnych działaniach ze wsparciem i współdziałaniem instytucji państwa. Dlatego opis najnowszych wydarzeń domaga się nowych analiz i nowej pogłębionej opowieści o solidarności. To już jednak wyzwanie i zadanie dla Pańskiego pokolenia.

Rozmawiał Karol Grabias